CENA 30 GR.

BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI
·TYGODNIK· ILUSTROWANY·

ROK VII. WARSZAWA, 27 MARCA 1938 R. Nr. 13 (252)

# Stanisław Łoś o kwestii ukraińskiej

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Rozpoczynając od 24 lutego mój wykład w Klubie Społeczno - Politycznym na temat „O konstruktywną politykę na Rusi Czerwonej", czułem się w obowiązku przeprosić doborowe grono mych poważnych słuchaczy za sprawiony im zawód. Wszystko bowiem co o sytuacji na terenie trzech wschodnich województw b. zaboru austriackiego mam do powiedzenia, powiedziałem i ogłosiłem drukiem już dawno. A sytuacja ta niestety zmienia się tak powoli, że nie wymaga częstej rewizji poglądów i dostosowywania ich do posuwającej się rzeczywistości.

To co się o niej powiedziało temu lat kilka, można z powodzeniem, a raczej bez powodzenia, powtórzyć i dzisiaj.

Byłem tedy przygotowany, że czcigodni moi słuchacze powróciwszy do domu powtórzą za przykładem Cesarza Tytusa: „Przyjaciele, straciliśmy wieczór". Tymczasem dyskusja bardzo na ogół rzeczowa — choć drgająca chwilami żywym uczuciem — przeciągnęła się poza północ, a echa prasowe odczytu — choć nie zupełnie wierne — są wyjątkowo liczne i głośne. Dowód to, że pomimo pozorów, opinia nasza instynktownie czuje, że sprawa warta jest myślenia.

Niektóre z tych prasowych odgłosów bardzo mnie przygnębiły. Skonstatowano mianowicie, że jestem „obciążony moralno-intelektualnie", co należy przypisać memu staroszlacheckiemu pochodzeniu. Przykro mi bardzo, że nie mogę się niczym przed tym groźnym pociskiem zasłonić. Biję się w piersi i wyznaję: Tak jest! Jestem obciążony dziedzictwem bardzo ciężkim. Rodzina moja pierwsze swe nadania na Rusi Czerwonej otrzymała w roku 1499, a potem w ciągu stuleci osiem procent obszaru tej dzielnicy (tj. co dwunasta wioska) — przeszło przez jej ręce. Takie pół tysiąca lat bez mała może istotnie zaciążyć na poglądach, tych kilkadziesiąt zameczków, kościołów i cerkwi postawionych i tych kilkadziesiąt wsi i osiedli założonych, tych kilkunastu imienników poległych w różnych bojach od bitwy pod Batohem aż po wiek XX (na samym Cmentarzu Obrońców Lwowa dwóch ich leży). To wszystko paczy i wykrzywia sąd. To odbiera prawo mówienia o dzielnicy, o jej ludziach i narodach, o jej potrzebach i bólach. Za dużo zdrewniałych atawizmów. Znacznie pożyteczniej by było sprowadzić jakiegoś nieuprzedzonego Amerykanina, ten by w dwa tygodnie uzdrowił narodowościowe stosunki na południowym wschodzie. Lecz na szczęście obok tej przygnębiającej diagnozy o mym moralno - intelektualnym obciążeniu były i oceny pocieszające, ba, mogące mnie wręcz wbić w pychę. Zostałem bowiem uznany ni mniej ni więcej tylko za „Budowniczego Ukrainy". To nie bagatela. Zbudować takie państwo o kilkudziesięciu milionach ludności, a pod względem obszaru też nie byle jakie — perspektywa arcyzachęcająca. Martwiłem się zawsze, że przejdę po tej ziemskiej planecie bez śladu i tylko jakiś akt zejścia świadczyć gdzieś będzie, żem w ogóle żył, a tym-

czasem pokazuje się, że *non omnis moriar:* coś jednak po mnie zostanie i posąg mój zajmie wcale poczesne miejsce pomiędzy Karolem Wielkim a Świętym Włodzimierzem. I dobrze, że mój mały synek dostanie na chrzcie imię Jarosława. No bo ostatecznie kto wie?!...

Ale żart na bok. Nie wybieram się budować Ukrainy, a nawet gdybym chciał, to jej nie zbuduję. Bo Ukrainy nie zbuduje żaden Polak, ani w ogóle żaden nie-Ukrainiec. Widzieliśmy już i to dwukrotnie takie próby i wiemy na czym się kończyły. Ukraina — jeżeli powstanie — powstanie 1) dzięki sprzyjającym okolicznościom zewnętrznym, 2) na skutek wysiłku i woli ukraińskiego narodu. Dopóki nie zaistnieją równocześnie dwa te współczynniki i to nie zaistnieją w odpowiednich do ogromu zadania napięciu i sile, dopóty państwowość ukraińska istnieć będzie jedynie w dziedzinie marzeń i nadziei, podobnie jak w XIX wieku państwowość polska.

Nie głosiłem też nigdy i nie głoszę, że obowiązkiem naszym polskim jest z góry i bezwarunkowo obiecywać, a nawet narzucać narodowi ukraińskiemu naszą pomoc przy budowaniu państwa. Narody w swych stosunkach między sobą mogą się kierować jedynie swym własnym interesem, a przyjaźnie ich mogą i powinny polegać na wymianie namacalnych usług. Kładę nacisk na słowo wymiana. Rzeczą Ukraińców będzie tedy — gdy dojdą do przekonania, że zaistniały warunki sprzyjające budowie państwa ukraińskiego — zastanowić się nad tym, czy i w jakich rozmiarach potrzebna im jest przy tym pomoc polska. Polski zaś rzeczą będzie wtedy zastanowić się nad zagadnieniem, czy interesy polskie i ukraińskie są na tyle zbieżne, a przynajmniej równoległe, by usprawiedliwiały udzielenie pomocy. Stawianie zagadnienia na innej płaszczyźnie, to obiecywanie Ukraińcom gruszek na wierzbie, która to obietnica rzadko kiedy wywołuje wybuchy wdzięczności.

Jeżeli mnie w ciągu ostatnich lat dwudziestu obchodziła narodowościowa sprawa ukraińska, to przede wszystkim w swym charakterze trwałego, poważnego wewnętrzno - politycznego zagadnienia Polski i to Polski pojętej w granicach wytworzonych przez traktaty pokojowe ostatniego dwudziestolecia. A studia moje nie obejmowały przeważnie nawet całokształtu ukraińskiego narodowościowego zagadnienia w granicach obecnej Rzplitej, tylko ograniczały się do terenu b. zaboru austriackiego. Teren ten interesował mnie dlatego, że trzeba go było orężnie zdobywać i to zdobywać nie na zewnętrznym jakimś wrogu, lecz na pewnym odłamie miejscowej ludności. Można twierdzić, że jest to odłam bardzo nieliczny, że działał on wbrew woli przeważnej części ludności, nie mniej przeto jednak był na tyle silny, by nam w ówczesnych warunkach narzucić kilkumiesięczną nielekką wojnę. A fakt, że taka wojna była, musiał oddziałać na psychikę mieszkańców dzielnicy.

Orężnie zwyciężyliśmy i dzielnica sporna jest w naszym ręku, mamy silną wolę ją przy Polsce utrzymać. Pytanie nasuwa się tylko — w jakim celu i jak.

Na pytanie to usłyszałem i taką odpowiedź: „Dzielnica ta jest nam potrzebna, bo tam jest nafta i inne rzeczy, które są nam niezbędne. Więc ją zatrzymamy, a zatrzymamy, bo jesteśmy silniejsi i koniec".

Otóż właśnie, że nie koniec, tylko początek.

Siłą można niejedno zdobyć, siłą można niejedno bardzo długo trzymać, ale nigdy się nie udało niczego wyłącznie siłą utrzymać. Na najsilniejszego przychodzą w końcu takie chwile, że ścisk jego pięści musi się rozluźnić. Dlatego przewidująca polityka dba o to, by pozwolić rozwinąć się i działać organicznym dośrodkowym procesom, których wyniki zastępują użycie siły i czynią je zbędnym.

Za zwycięską walką powinna iść jak najprędzej i jak najgłębiej twórcza, dostosowana do ludzkiej natury i ludzkiej psychiki polityka, prowadząca nie do mechanicznej, lecz do organicznej zwartości państwa. Siła była i zawsze zapewne pozostanie czynnikiem w stosunkach między narodami niezbędnym, będzie zawsze ową *ultima ratio* narodów, jak była *ultima ratio* królów. Ale mądra polityka nie pozwoli jej nigdy być czym innym, jak tylko ową racją ostateczną, używaną dopiero po wyczerpaniu wszystkich innych. Nie może być polityki gorszej jak ta, która pewnej części — a zwłaszcza licznej części — obywateli państwa przypomina nieustannie, że jedynie siła trzyma ich w jego granicach. Państwo, prowadzące tego rodzaju politykę, już z góry rezygnuje z owoców swego zwycięstwa; neutralizuje część sił i energii narodu przodującego na zatrzymywaniu i paczeniu energii i rozwoju innego odłamu własnych współobywateli. Na pracę destrukcyjną zużywa mnóstwo sił, które mogłyby być użyte w pracy twórczej, wzmagającej potęgę państwa i przesuwającej na jego korzyść stosunek jego sił własnych do sił sąsiadów.

Prekonizować trzymanie siłą dzielnic o większości innoplemiennego zasiedlenia może tylko ten, co wierzy, że walka narodowościowa w państwie liczącym więcej niż jedną narodowość jest fatalnością nie do pokonania.

Wyznawałem zawsze inną wiarę. Wierzę mocno, że nie ma sytuacji wiecznych, że nie ma uczuć wiecznotrwałych i że nie ma problemu, którego by w końcu nie rozwiązała polityka twórcza, umiejąca wyzyskać czynnik czasu i oparta o odpowiednią znajomość ludzkiej natury. Ukraińcy haliccy nie są ani supernarodem, ani subnarodem. Są po prostu naro-

dem, a jako taki podlegają wszystkim prawom dziejowym, jakie poczynaniami narodów kierują. Otóż doświadczenie dziejowe wykazuje, że są dwie metody prowadzenia narodów. Jedna, to ciągnięcie ich za kark, pokonywując czynny i bierny opór ciągniętego, druga — to wzbudzanie w nich przekonania, że droga, jaką się im wskazuje, jest drogą właściwą i spowodowanie, że z własnej woli raźno i ochoczo nią pójdą.

Tę drugą metodę uważam za bardziej wskazaną, zwłaszcza dla narodu, który chce czy też musi kierować losami niezbyt wielkiego, a za to bardzo ubogiego państwa, wtłoczonego pomiędzy dwa kolosy i liczącego z górą trzydzieści procent innoplemieńców. Zużywanie energii trzydziestu procent ludności państwa na neutralizowanie poczynań drugich trzydziestu procent, to redukowanie siły samego państwa o sześćdziesiąt procent osiągalnych możliwości. Sprowadza to trzydziestokilkomilionową Polskę do poziomu państwa o jedenastu milionach aktywnej ludności. Jak na państwo leżące między Niemcami a Rosją cokolwiek za mało.

Zajmując się od kilkunastu lat teoretycznie, a czasem praktycznie, polityką t.zw. mniejszościową, doszedłem do przekonania, że jednym z najważniejszych czynników mogących Polsce w chwili próby, która kiedyś przyjść musi, zapewnić należytą zwartość oraz możność przejścia od postawy czysto defensywnej, prowadzącej zawsze w ostatecznym wyniku do klęski, do postawy ofensywnej, oddającej w polskie ręce inicjatywę w kształtowaniu losów Europy Środkowo-Wschodniej, to nie co innego, tylko właściwa polityka narodowościowa. Za właściwą politykę narodowościową zaś uważam taką, która u niepolskich narodów Rzplitej umożliwi wytworzenie się przekonania, że przynależność do Polski i oparcie o nią jest — jeżeli nie wręcz najlepszą ze wszelkich dostępnych możliwości, to przynajmniej najmniej złą. A do tego przeświadczenia narodowości te dojść mogą jedynie rozpatrując swe położenie nie pod kątem widzenia potrzeb polskich, lecz potrzeb i interesów własnych. I doświadczenie uczy, że ilekroć — bardzo fragmentarycznie zresztą — próbowaliśmy opierać naszą narodowościową politykę na tych właśnie przesłankach, tylekroć wyniki przewyższały oczekiwania. Bo to jest polityka oparta na znajomości psychologii ludzkiej.

Przebieg dyskusji, jaka się po moim odczycie rozwinęła, wykazał, że duża większość mówców, pochodzących z terenu, nie miała zasadniczych zastrzeżeń przeciw zaleconej polityce paralelizmu i parytetu. Owszem, godzono się z tym, że w praktyce, tj. tam, gdzie polityka taka bywała tu i ówdzie stosowana — wyniki były dobre. Zastrzegano się jedynie przeciwko ujmowaniu już teraz tej polityki w paragrafy. Ale i ja nie jestem bynajmniej czcicielem paragrafu. Długie doświadczenie życiowe nauczyło mnie, że w krajach anglosaskich najdoskonalej są stosowane prawa nigdy nieskodyfikowane, a na kontynencie europejskim nie są stosowane prawa ujęte najwyraźniej w ustawowe teksty. Exemplum—z jednej strony konstytucja brytyjska, z drugiej — pewna ustawa o samorządzie wojewódzkim. Zdrowa zasada stosowana w rozsądny sposób w życiu da więcej niż najmądrzejsza ustawa, której nikt nie stosuje. Z podstawowymi zasadami polityki, jaką nazwałem konstruktywną, godziła się tedy znaczna większość mówców pochodzących z terenu i przedstawiających poważny odłam miejscowej polskiej społeczności. Jak na początek, to nie tak źle.

Prawda, że mówcy ci — jak z oburzeniem zauważa niezadowolona z przebiegu dyskusji część prasy — pochodzą z warstwy szlachecko - ziemiańskiej, lub też są z warstwą tą dość blisko związani. To jest poważny minus. Warstwa ziemiańska bowiem jest wśród inteligencji centralnych dzielnic państwa warstwą bardzo niepopularną, a inteligencja rządzi centralnymi dzielnicami, centralne dzielnice zaś całością Państwa. Niepopularność warstwy ziemiańskiej jest wśród warstwy obecnie państwem rządzącej tak wielka, że sam fakt, iż jakaś zalecana polityka spotkała się z nienajgorszym przyjęciem u poważnych ziemian stanowi już obciążenie tego zalecenia. Czyż np. nie głosi się z wysoce oficjalnego minaretu, że własność większa produkuje z tej samej jednostki przestrzeni mniej niż własność chłopska? I teza ta znajduje wiarę, jakkolwiek przetłumaczona na język polski oznacza po prostu, że rolnik produkuje tym mniej i tym gorzej, im wyższe posiada rolnicze wykształcenie, im lepszych narzędzi używa, im bardziej rasowy ma inwentarz i im lepszym ziarnem sieje!!!

Polityka narodowościowa zatem, która znajduje jakie takie zrozumienie u warstwy ziemiańskiej dzielnic południowo - wschodnich, może już przez to samo budzić podejrzenia. A jednak należałoby mieć w pamięci, że na tych terenach pozbawionych przemysłu ziemiaństwo jest bodajże jedyną inteligencją polską, żyjącą nie z poborów, ale z pracy gospodarczej, dalej — inteligencją polską stykającą się z miejscowym ludem nie przez przegrodę urzędowego biurka, lecz właśnie w codziennej pracy nad zdobyciem chleba powszedniego, że jest tą warstwą żywiołu polskiego, z którą niepolski lud i niepolska inteligencja miejscowa ma jeszcze najmniej interesów sprzecznych, że zrośnięta z ziemią i ludnością, jest najbardziej związana z dolą i niedolą dzielnicy, której losy dzielić musi, że wreszcie ta właśnie warstwa, nie inna, reprezentuje najdawniejszą i najstarszą tradycję polityczną polską na Rusi. Dlatego pozwalam sobie mniemać, że przedstawiciele tej warstwy mogą wręcz z pewnym autorytetem zabie-

rać głos w sprawach polityki narodowościowej, choćby dlatego, że ponoszą za swe ewentualne błędy odpowiedzialność rzeczową. Bo związana z glebą warstwa musi za błędy swej polityki odpowiadać krwią i mieniem; nie może liczyć na przeniesienie z awansem do Płocka.

Reasumując, powracam uporczywie do mych tez:

1. Państwo, w którym żyje w masie zwartej więcej niż jedna narodowość, musi wyciągnąć praktyczne, polityczne konsekwencje ze swej narodowościowej struktury.

2. O ile zatem żyjące w jego obrębie narodowości nie dążą do szybkiego zlania się w jeden naród nadrzędny, musi państwo wielonarodowe — we własnym interesie — dążyć do zorganizowania w określonych przez siebie ramach życia każdej z poszczególnych narodowości tak by a) płaszczyzna tarcia między nimi była jak najmniejsza, b) by jak najmniejszy zasób sił i państwa i przodującego w państwie narodu marnował się na neutralizowanie dążeń innych żyjących na terenie państwa narodowości oraz c) by związek tych narodowości z państwem miał możliwie najbardziej charakter organiczny, nie zaś czysto mechaniczny. Nie należy, jednym słowem, stwarzać podłoża korzystnego dla powstawania dążności odśrodkowych.

3. Państwo wielonarodowe musi u wszystkich narodowości żyjących w jego granicach budzić świadomość interesów, jakie je z państwem łączą, a to przez umożliwienie im rozwoju i stworzenie stanu posiadania, za który byłyby odpowiedzialne i którego utraty lub zmniejszenia musiałyby się we własnym interesie lękać. Tyle, jeżeli idzie o dziedzinę życia narodowo - kulturalną.

4. Państwo, które by przeszkadzało w gospodarczej pracy znacznemu odłamowi własnych obywateli, popełniałoby bardzo poważny błąd. Ubożenie bowiem powyższego odłamu mieszkańców państwa uboży pośrednio całą ludność, która przecież stanowi jeden organizm gospodarczy.

Odnosi się to również, a może przede wszystkim, do gospodarczego życia społeczności ukraińskiej. Gospodarcza walka polsko - ukraińska na południowym wschodzie polega bowiem na szkodliwym nieporozumieniu. Ani Polacy, ani Ukraińcy nie są w dziedzinie ekonomicznej gospodarzami tej krainy. Łączny udział — powtarzam *łączny* — obu słowiańskich narodowości w obrocie gospodarczym dzielnicy zaledwie osiąga 23%, z czego na Ukraińców przypada około 8%, na Polaków m. w. 15%. Reszta, tj. 80%, to udział żydowski. Gospodarcza walka polsko - ukraińska, to walka dwu społeczności żebraczych, szkodliwa podwójnie: 1) dlatego, że jest to walka o miedziaki, 2) dlatego, że społeczności, których uwaga jest zwrócona nie na wytwarzanie coraz to nowych dóbr, lecz jedynie na wzajemne wyszarpywanie sobie t.zw. stanu posiadania będą zawsze społecznościami nędzarzy. Nie powinniśmy przeszkadzać Ukraińcom w bogaceniu się, byle oni nam nie przeszkadzali czynić to samo. A jeżeli mówimy o bogaceniu się obu słowiańskich społeczności na południowym wschodzie, to pamiętać trzeba, że wyrażenie to jest eufemizmem, który nie powinien przesłaniać nam istoty rzeczy. Do bogacenia się jest i Polakom i Ukraińcom jeszcze bardzo daleko. Na razie można mówić w najlepszym wypadku o wysiłkach zmierzających do deproletaryzacji słowiańskiego żywiołu na południowym wschodzie, a jeszcze realniej o próbach zatrzymania tego procesu proletaryzacji, jaki na skutek jednostronnie rolniczych zainteresowań chłopa a antygospodarczego, doktrynerskiego nastawienia inteligencji przybrał tak potworne rozmiary. Nie walka o stan posiadania, lecz skoordynowanie wspólnego równoległego wysiłku celem podniesienia gospodarczego poziomu dzielnicy powinno być hasłem dnia. W tych konkretnych wypadkach, gdzie do takiej koordynacji wysiłków istotnie doszło, wyniki i gospodarcze i polityczne były doskonałe. Żadna ze współpracujących stron niczego nie straciła, obie zyskały.

Kłótnia o to, jak podzielić dwadzieścia trzy procent obrotu gospodarczego, nie troszcząc się o pozostałe siedemdziesiąt siedem procent, jest i gorsząca i śmieszna. Śmieszna tym bardziej, że ta bijatyka nad bardzo chudą kością połączona jest jeszcze z dyskusją na temat, kto jest „gospodarzem tej ziemi", jak gdyby to nie było wiadomym. Nie leży ona z pewnością ani w interesie polskim, ani w ukraińskim. Może leżeć co najwyżej w interesie tych żywiołów, dla których wygodniej jest, by ni Polacy, ni Ukraińcy nie uprzytomnili sobie, jak naprawdę z tym gospodarowaniem wygląda i tych żywiołów — po obu stronach barykady — które w jakiejkolwiek formie na narodowościowej waśni robią czy to praktyczną, czy gospodarczą karierę. Rzeczpospolita, jako taka, z narodowościowej waśni szkodę tylko ponieść może.

Bo ojczyzna nasza — wspólna od wieków wszystkim ludom żyjącym między wschodnią granicą etnograficzną niemiecką a zachodnią granicą etnograficzną rosyjską i niegdyś wspólnym ich wysiłkiem zbudowana, może się stać wielką i ostać się pomiędzy dwoma kolosami, jeżeli w wieku XX-ym uczyni to samo, czego umiała raz — niestety przez dwa stulecia tylko — dokonać w wieku XV-ym, tj. znaleźć politykę umożliwiającą zgodne współżycie i współpracę samodzielnych, autonomicznych naro-

dów, wyznań i obrządków, świadomych wprawdzie swej wzajemnej względem siebie odrębności, ale świadomych także, że puszczone samopas i zdane na własne siły zginą marnie zmielone na proszek pod ciężarem sąsiednich kolosów. Nauka historii od czasów Chmielniczczyzny po traktat ryski jest chyba dosyć wymowna i broń nas Boże od jej powtórzenia.

Stanisławski

M. Dańko
Genewa

# Pakt czterech państw czy pięciu?

Podróż ministra Becka do Rzymu głośnym echem się ozwała nie tylko w prasie italskiej, lecz i europejskiej. Odwiedziny kierownika polskiej polityki zagranicznej w Rzymie zostały zamierzone już dawno. Lecz to niektórym pismom nie przeszkodziło łączyć ową podróż z pertraktacjami angielsko-italskimi, a nawet angielsko - niemieckimi. Poszczególne dzienniki idą jeszcze dalej i w podróży ministra Becka widzą zamiar Polski przystąpienia do przyszłego porozumienia czterech mocarstw i przekształcenia go tym samym w pakt pięciu. Czy wnioski tych dzienników są słuszne — pokaże najbliższa przyszłość. W każdym bądź razie są takie same podstawy do mówienia o pakcie czterech, jak i o pakcie pięciu. Pakt pięciu można właściwie uważać za bardziej prawdopodobny niż pakt czterech, chociażby ze względu na to, że największą przeszkodą na drodze do porozumienia między państwami zachodnimi i narodowymi jest pakt francusko - moskiewski. A od stanowiska Polski wobec rządu moskiewskiego w znacznym stopniu zależy, czy ów nieszczęsny pakt będzie posiadał jakieś znaczenie, czy nie. Stanowisko Polski wobec Moskwy może być tym bardziej decydujące, gdyż przy obecnej polityce Rumunii — nie może być mowy o przepuszczeniu armii sowieckiej przez terytorium rumuńskie. Pozycja Polski może również skłonić i rząd praski do formalnego wyrzeczenia się na wskroś nierealnej „obrony" moskiewskiej, a w takim razie i Francja pozbyłaby się „obowiązku dochowania wierności sojusznikom wschodnioeuropejskim", co rzekomo jej przeszkadza przystąpić do paktu czterech mocarstw.

Pakt pięciu i z innego względu ma większe widoki realizacyjne, a zwłaszcza trwałości niż pakt czterech. Pakt państw europejskich może być przeciwmoskiewskim tylko w myśl zasady moskiewskiej — bez nas, znaczy przeciwko nam. Zatem pominięcie w pakcie czterech państwa, które faktycznie oddziela Europę od ZSSR, pozbawiłoby ów pakt w znacznym stopniu realnego znaczenia politycznego i tym samym postawiłoby pod znakiem zapytania jego trwałość i żywotność.

Dotychczasowe próby porozumienia wielkich mocarstw wyraźnie dowiodły, iż do tego brakuje po prostu podstawy terytorialnej z wystarczającymi resursami ekonomicznymi i politycznymi. Jedynie z owego ubóstwa obiektów dla współpracy wielkich mocarstw mogły wyniknąć w pewnych politycznych kołach państw zachodnich prymitywne i nieistotne projekty „merkantylne" powstrzymania narodowej ekspansji Niemiec na ich granicy południowej obiecankami zwrócenia kolonij. O ile całkowite zaspokojenie żądań niemieckich w Europie i za morzem wpłynęłoby na dalszy rozwój samych Niemiec — mogłaby pokazać jedynie niedaleka przyszłość, lecz tym na pewno by się nie rozwiązało wszystkich innych palących problemów Europy, które powodują, iż wielkie i małe państwa tracą większą część swego majątku narodowego w niesamowitym wyścigu zbrojeń.

Kryzys z jednej strony oraz uzbrojony po zęby i wrogi Europie, z ogromnymi resursami materialnymi ZSSR — z drugiej, czyniłyby z każdego paktu państw europejskich zjawisko nietrwałe. Każdy, wywołany kryzysem konflikt między państwami połączonymi paktem stwarzałby dla tego czy innego z tych państw pokusę skorzystania z wojennej pomocy Moskwy, celem przerzucenia ciężarów kryzysu na barki innych członków paktu. Twierdzenia Stalina, zawarte o liście do Iwana Filipowicza Iwanowa należy uznać za całkiem słuszne, *rozwoju imperializmu moskiewskiego i normalnego rozwoju Europy pogodzić nie można.*

Mocną podstawą paktu państw europejskich może być jedynie działalność w kierunku zwalczania współczesnego europejskiego, a nawet światowego kryzysu. Rozszerzyć zasięg tej działalności poza dotychczasowe wąskie ramy europejskie można właściwie tylko przy udziale Polski w porozumieniu wielkich mocarstw. Udział Polski w tym pakcie jest niezbędnym warunkiem dla rozszerzenia jego działalności z wąskich ram Europy na szerokie przestrzenie Euroazji. Jedynie tą drogą można zapobiec rozbiciu ekonomicznego i politycznego życia świata na ośrodki europejski, daleko - wschodni i amerykański, które to rozbicie mogłoby być niezwykle fatalne dla przeludnionej Europy.

Moralnym, a tym samym i prawno - politycznym warunkiem wciągnięcia obecnych obconarodowych ziem sowieckich od granicy polskiej do Oceanu Spokojnego w orbitę działania paktu państw europejskich może być, oczywiście, jedynie wyzwolenie obcych narodów ZSSR spod jarzma moskiewskiego. Zatem *warunkiem nie tylko pomyślnego działania, lecz i samej trwałości paktu państw europejskich jest zrealizowanie programu frontu prometejskiego, wytworzonego na przestrzeni prawie dwóch dziesiątków lat w granicach Polski.*

Przyciągnięcie Polski do paktu mocarstw europejskich byłoby równoznaczne z uznaniem jej mocarstwowości. Ewolucja Polski od nieistnienia przedwojennego do mocarstwowości może się wydać nierzeczywistą i nieralną z punktu widzenia gospodarczego i społeczno-politycznego rozwoju państwa na przestrzeni dwudziestu lat, z których przy tym znaczna część przypada na ciężki okres kryzysu światowego. Ale poza czynnikami ekonomicznymi i politycznymi istnieje jeszcze czynnik

narodowy, decydujący obecnie zarówno w Europie, jak i w Azji. Ten czynnik może jedynie decydować i o mocarstwowości Polski, i o jej udziale w pakcie mocarstw europejskich. *Polska, która nie może się równać ze starszymi państwami europejskimi w dziedzinie ekonomicznej, może mieć czołowe znaczenie polityczne na wschodzie Europy dzięki idei prometejskiej, którą reprezentują pewne koła społeczne w Polsce.*

---

Ostatnie wydarzenia w sferze stosunków niemiecko-austriackich oraz napięcie polityczne tymi wydarzeniami wywołane w Europie raz jeszcze świadczą, że bez trwałego porozumienia pięciu państw, Europa wciąż będzie pod grozą najniebezpieczniejszych konfliktów politycznych. Na zakończenie ostatniej sesji Rady Ligi Narodów państwa zachodnie oświadczyły, że najpilniejszą sprawą jest... czekanie i, oczywiście, prowadzenie dalszego wyścigu zbrojeń. Lecz państwa narodowe mają poza tym wiele bardzo poważnych i pilnych spraw, ażeby móc czekać. Czekanie w Europie — pod presją stałego wzrostu kryzysu politycznego i gospodarczego i pod grozą imperializmu moskiewskiego — jest rzeczą zbyt niebezpieczną, ażeby na nią mogli się zgodzić kierownicy państw, odpowiedzialni przed swoim narodem. Dopóki pakt pięciu państw nie zostanie zrealizowany — państwa, tworzące wał obronny przed Wschodem, od Bałtyku do Morza Śródziemnego, muszą mieć wolną rękę w sprawach ugrupowania i przegrupowania swoich sił narodowych. To jest podstawowa treść ostatnich wydarzeń na terenie Austrii. Dopóki istnieje pakt francusko-moskiewski, tolerowany w Londynie, dopóty państwa zachodnie muszą być przygotowane na to, że Europa, na wschód od granicy francuskiej, będzie samodzielnie organizować obronę przed niebezpieczeństwem wschodnim. Do paktu pięciu państw może przyjść również poprzez faktyczne porozumienie trzech państw. W Rzymie, z okazji wizyty ministra Becka, zostało uznane, że Polska czyni wszystko co do niej należy w kierunku zwalczania komunizmu na własnym terytorium i tym samym skutecznie popiera akcję mocarstw złączonych paktem antykomunistycznym. Oficjalne poglądy Wielkiej Brytanii na rolę Moskwy w Europie poważnie się zmieniły ze zmianą kierownika brytyjskiej polityki zagranicznej. Kolej na Francję. Jej miarodajne koła polityczne były obojętne co do faktycznego przyłączenia Rumunii, Jugosławii, Grecji, a nawet Turcji do przeciwmoskiewskiego frontu państw, lecz do wydarzeń w Austrii obojętnymi nie pozostaną. Nie wykluczone, że Francji wkrótce wypadnie wybierać nie między Londynem a Moskwą, lecz między Moskwą a paktem pięciu państw.

---

Uczestnictwo Polski w pakcie pięciu państw posiada, oczywiście, aspekt nie tylko zewnętrzny, lecz i wewnętrznopaństwowy. I z tego względu byłoby pożądanym, ażeby czynniki kompetentne — zarówno polskie, jak i ukraińskie, należące do frontu prometejskiego czy też tylko z nim sympatyzujące — poważnie tą kwestią się zajęły.

# Uwagi do procesu moskiewskiego

Właśnie w czasie, gdy w Austrii odbywały się znane i dla ZSSR na pewno bardzo smutne wydarzenia, bolszewicki sąd moskiewski ogłosił swój wyrok, na którego mocy 18-tu bolszewików skazano na śmierć, 3-ch zaś — na więzienie od 15 do 25 lat.

Kolejny proces moskiewski zakończył się, wzrosła ilość poświęconych temu procesowi artykułów, badań i dociekań, lecz ocena nasza („B. P.-U." z dn. 13.III. rb.) na ogół znalazła potwierdzenie i nie wymaga poważniejszej korektury.

Stwierdzamy tylko, że w świetle badań nad stenogramem procesu (co prawda, cenzurowanym) — cały proces przedstawia się jako piekielna mieszanina rzeczywistości i fantazji, okrutnej prawdy i niemniej okrutnego, jedynego w swoim rodzaju, kłamstwa sowieckiego.

Nie trzeba być wielkim psychologiem, ażeby między wierszami zeznań wyczuć zdławiony krzyk resztek godności ludzkiej u niektórych (Bucharin, Rykow) oskarżonych, ale nie trzeba także posiadać nadmiaru wyobraźni, ażeby przedstawić sobie w jaki sposób te resztki godności ludzkiej (nawet sowieckiej!) zostały zdławione i unicestwione.

Stenogramy procesu, nawet cenzurowane, to jakby najjaskrawsze stronice Dostojewskiego. Materiał w nich zawarty może zaciekawić psychiatrę lub pisarza. Toteż nie może to być tematem wzmianki niniejszej, gdyż interesują tu nas rzeczy bardziej widoczne i bardziej konkretne, lecz niemniej... tajemnicze.

Przede wszystkim stwierdzamy fakt bijący w oczy oraz fakt mimowolnie nasuwający analogię z procesem z roku ubiegłego, procesem, jak wtedy się pisało, „Radka i towarzyszy".

Otóż jeden z najgłówniejszych oskarżonych, mianowicie Rakowskij, człowiek, który się przyznał do tego, że jest od dawna „agentem angielskiego (od 1924 r.!) i japońskiego wywiadu", człowiek, który, sądząc z aktu oskarżenia, z przebiegu przesłuchania oraz wynurzeń osobistych, był jednym z głównych działaczy „trockistowskich", tym bardziej, że jest pochodzenia „wielko - burżuazyjnego" (syn dziedzica), człowiek, którego w toku procesu nazywano „wściekłym psem", „zdrajcą ojczyzny" itp. i żądano jego krwi — został skazany jedynie na *zwykłe więzienie*. Zupełnie w ten sam sposób, jak rok temu na jeszcze mniejszy termin więzienia został niespodziewanie „ułaskawiony" Radek — *główny* oskarżony w zeszłorocznym procesie... Oprócz Sobelzona — „Radka" *) darowano wówczas życie także Bryliantowi — „Sokolnikowowi". I analogicznie — na tym procesie „pozostał przy życiu" (więzienie na 15 lat) także „szpieg", „zdrajca" i rzeczywisty członek „bloku prawicowo - trockistowskiego" — Bezsonow.

Jeżeli przyjmiemy pod uwagę, że jednocześnie blisko 70-letni staruszek-lekarz Lewin jedynie za to, że — pod terorem szefa GPU, Jagody — usiłował rzekomo „przyśpieszyć śmierć" Gorkiego (starego suchotnika) — został skazany na śmierć, uświadomimy sobie dziwną kapryśność Temidy sowieckiej.

Pewne światło na powyższe, logicznie niewytłumaczalne, zjawisko rzuca telegram nadesłany do sądu z Paryża przez

*) W prasie zachodniej kilka miesięcy temu była podana wiadomość, że więzienie zostało zamienione Radkowi na pracę przymusową i że tą „pracą przymusową" jest odpowiednia *posada* w Bibliotece Publicznej w *Leningradzie*.

A więc jeden z najwybitniejszych trockistów i niewątpliwy „pies" i „szpieg" zasądzony został jedynie na zmianę posady: z redakcji „Izwiestij" do Leningradzkiej Biblioteki Publicznej.

„przyjaciół Rosji", ze znanym de Monzi na czele. Podobne telegramy przesyłane były także i w czasie procesu zeszłorocznego.

Drugim faktem tajemniczym, lecz nie mniej konkretnym, jest to, że główny *spiritus movens* „trockizmu", czyli sam tow. Trockij — mimo iż jest, według aktów, naczelnym przywódcą całej „bandy wściekłych psów" — pozostaje żywy i zdrów pod gorącym niebem Meksyku, jako emigrant.

Tak, jak gdyby ośmiornica sowiecka, która na całym świecie ma tyle „eksterytorialnych" możliwości, która ma za sobą takie osiągnięcia, jak śmierć ś.p. Petlury, ś.p. Ramiszwillego, jak ostatecznie uprowadzenie Kutiepowa i Millera oraz szereg innych „mokrych" i „suchych" wyczynów, naprawdę nie mogłaby sprowadzić choć na jeden z całego szeregu procesów trockistowskich — samego nieobecnego dotychczas ich bohatera.

Dr Włodzimierz Kołpaczkiewicz

# Starorusini wobec rzeczywistości rosyjskiej w okresie wojny światowej

Ponieważ wypadnie mi teraz pisać o wielu rzeczach przykrych, niech wolno mi będzie, zanim do właściwego tematu przystąpię, uchylić czoła przed tymi „Starorusinami", którzy w ideę swoją rzeczywiście wierzyli, za nią cierpieli, często nawet śmierć ponieśli. Bo na szacunek zasługują ci, co z ideą w sercu żyją, bez względu na to, jaką jest idea sama z punktu widzenia praktyczności, a na współczucie zasługują ci, których ideowość wskutek ich własnej naiwnej prostoduszności i nieoględnej uczciwości staje się kopalnią złota dla ekwilibrystów politycznych i prowokatorów.

W życiu narodów zdarzają się niekiedy sytuacje, w których idee polityczne znajdują sprawdzian swej celowości, praktycznych możliwości realizacji i wartości życiowej. Negatywny wynik badań istoty tych idej na podstawie takiego sprawdzianu zawiera *implicite* kategoryczny nakaz, jeżeli nie zupełnej zmiany, to przynajmniej zasadniczych reform orientacji politycznej, w celu jej akomodacji do warunków życiowych. Głuchymi na ten nakaz pozostają tylko ciemne beznadziejnie tępe, pozbawione krytycyzmu umysły, fanatyczni doktrynerzy, nie mający poczucia rzeczywistości, w końcu najemni „wodzowie", dla których nie ma odwrotu. Cóż bowiem warta myśl polityczna, która w idealnie najkorzystniejszych warunkach nie da się urzeczywistnić, albo która w miarę realizacji coraz większym rozczarowaniem i rozgoryczeniem napełnia swoich wyznawców? Czy taka doktryna polityczna z obywateli nie uczyni Żydów — wiecznych tułaczy, nigdy i nigdzie nie znajdujących ojczyzny, która by ziściła ich obywatelskie aspiracje? Czy nie będą oni wszędzie, gdziekolwiek się znajdą, czynnikiem ustawicznego rozkładu, czekając wiecznie na ziszczenie swych nieziszczalnych mrzonek? Czy podczas tego bezterminowego wyczekiwania na spełnienie swego, nieokreślonego formami rzeczywistości, ideału, nie staną się oni materiałem, zdatnym w każdej chwili na narzędzie w czyichkolwiek rękach?

Dla „Starorusinów" sprawdzianem wartości życiowej i odporności ich myśli politycznej było bezpośrednie zetknięcie się z rosyjską rzeczywistością w okresie wojny światowej. To, czego oni — w myśl swej doktryny — oczekiwali od Rosji gdy dostaną się pod jej opiekuńcze skrzydła, było uznanie ich w tym państwie za pełnoprawnych obywateli, pomoc rzetelna, jaka się takim obywatelom od państwa należy i bezwzględne tępienie przez państwowe czynniki rosyjskie idei narodowej samodzielności ukraińskiej, która jest zaprzeczeniem racji bytu ideologii „Starorusinów". Zdrowy rozsądek powiada, że każdy rozumny rząd na świecie uważałby za swój „point d'honueur" spełnić takie postulaty swoich klientów, którzy się do jego rydwanu zaprzęgli i w myśl jego życzeń działali. Ale rząd rosyjski bez najmniejszych skrupułów postąpił zupełnie inaczej, wbrew wszelkim zasadom i dogmatom, w które kazał swoim klientom wierzyć.

Już w czerwcu 1914 r., bezpośrednio przed wybuchem wojny światowej, mieli „Starorusini" przedsmak zakulisowych intryg i przewrotności, które jak nieuleczalna gangrena toczyły życie publiczne w Rosji. Oto w przededniu wybuchu wojny przyszło do rozgrywki między przywódcami rusofilów, ubiegającymi się o wpływy w Rosji dla dwóch swoich koteryj. Leaderzy, należący do bardziej „błagonadiożnej" grupy, z dr Dudykiewiczem na czele, zawczasu ostrzeżeni o mających nastąpić zdarzeniach i w przewidywaniu represyj ze strony rządu austriackiego, uciekli za granicę, nie podając tego ostrzeżenia do wiadomości towarzyszom z konkurującej z nimi drugiej grupy, której przywódcą był dr Markow. Toteż ten ostatni i szereg działaczy rusofilskich ze sztabu partii, zaskoczeni wypadkami, dostali się do więzienia austriackiego. To było na rękę władzom rosyjskim, które bynajmniej nie życzyły sobie obecności w granicach swego państwa zbyt wielu filarów ruchu staroruskiego, zwłaszcza tych nieco zarażonych demokratyczno-parlamentarnym „zapadniczestwem". O szare masy „Starorusinów" Rosja nie troszczyła się wcale. „Murzyn swoje zrobił, murzyn może odejść...". Ci mali ludzie z pewnymi aspiracjami z tytułu swoich rzeczywistych czy urojonych zasług dla narodowej sprawy rosyjskiej byliby dla niej teraz niepotrzebnym balastem. Znaleźli się też oni w położeniu nie do pozazdroszczenia. Ogół tych ludzi miał na sumieniu chyba zbrodnię łatwowierności, z jaką pozwolił się uwikłać w sidła sprytnych agitatorów. Aresztowani masowo i spędzeni jak bydło do obozów koncentracyjnych (w przeciwieństwie do przywódców, których osadzono w stosunkowo wygodnych więzieniach wojskowych i traktowano na równi z więźniami w stopniu oficerskim), pozostawieni byli swemu losowi. Podczas gdy inne wielkie państwa, jak Francja, Anglia, a nawet mała Belgia znalazły drogi i środki pośpieszenia z pomocą tym obywatelom, co padli ofiarą za wspólną sprawę, Rosja, bogata i potężna, takimi „drobnostkami" nie zaprzątała sobie głowy. Wprawdzie w 1915 r. rząd rosyjski powołał do życia i subwencjonował komitet niesienia pomocy „Starorusinom", pozostawiając zresztą jego działalność bez kontroli. Ale organ ten otoczył się mgłą tajemniczości i, wzo-

rem dawnych precedensów, służył wyłącznie tylko interesom kliki i jej protektoratów. Kilku „Starorusinów” na kierowniczych stanowiskach w tym komitecie, przed wojną hołyszów, dorobiło się na tej służbie pokaźnej fortuny. Niektórzy z nich, wyjechawszy w 1915 r. wraz z armią rosyjską, po wojnie w ogóle nie znaleźli odwagi powrócić do kraju, „Komitadżi”, jak ich nazywano („Komitetowi”), dysponowali jednak nie tylko funduszami z subsydiów rządowych, ale także i majątkami prywatnymi „Starorusinów”, zwłaszcza nieobecnych, a zatem tych, którzy zostali w Austrii uwięzieni lub powołani do służby wojskowej. Bądź to w charakterze prawnym—kuratorów nieobecnych, bądź też i bez tego tytułu prawnego, na mocy swych uprawnień, albo też za pomocą perswazyj, a nawet groźby — zabierali skromne oszczędności swoim własnym stronnikom, względnie spieniężali ich mienie i uzyskane kapitały lokowali w wojennych rosyjskich pożyczkach państwowych, które z dnia na dzień traciły na wartości. O jakiejś kontroli kursu papierów wartościowych czy walut w dniu zakupu ze strony zainteresowanych nie mogło być mowy.

Internowanym i więźniom komitet przekazywał z reguły pieniądze, wydobyte z ich własnych majątków. Przekazywanie odbyło się drogą przelewu czekowego na konto Marmaros Blac Banca w Gałacu. Bank wywiązywał się ze swoich zleceń solidnie i bezzwłocznie, przetrzymywanie jednak przez komitetowych całymi miesiącami w czasie dewaluacji kwot przeznaczonych do wysyłki, narażało zainteresowanych na dotkliwe straty. Z subwencyj rządowych komitet wysyłał jeno ochłapy i to wyłącznie tylko najbardziej „zasłużonym”. Ogół więźniów staroruskich, nie posiadających własnych majątków, ani nie zajmujących stanowisk rządowych, żył z zapomogi od rządu austriackiego po 70 halerzy dziennie. Zapomaga ta, w miarę dewaluacji, zapewniała coraz skromniejsze utrzymanie. Natomiast księża staroruscy i świecka inteligencja na rządowych posadach nie miała krzywdy, gdyż rząd austriacki wypłacał im oprócz wspomnianej zapomogi pełną gażę. Zresztą życie w obozach internowanych nie różniło się wiele od życia w obozach koncentracyjnych dla zbiegów, ostrzejszy był tylko regulamin. Cierpienia internowanych były raczej natury duchowej, spowodowane głównie świadomością pozbawienia wolności osobistej, której pełni „Starorusini” zwykli byli w Austrii używać. Nie mogli też w rozdwojeniu swojej osobowości pogodzić się z tym, że traktowano ich jak zdrajców państwa, którzy działali, względnie gotowi byli działać, w czasie wojny na korzyść wroga. Sądzę, że „Starorusini” sami bardzo wiele zawinili i przyczynili się do pogorszenia swego położenia, degradując się dobrowolnie w swych zeznaniach przed sądami i deklaracjach przed władzami z roli bohaterów narodowych, walczących o prawa narodowe ze świadomością grożącego stąd niebezpieczeństwa, do roli niewinnych ofiar, niesłusznie o zdradę stanu posądzanych. Gdy bowiem ogół „Starorusinów” w śledztwach i oświadczeniach stanowczo wypierał się swego światopoglądu i tego, co w interesie tego światopoglądu czynił, to, logicznie biorąc, musiał u władz austriackich wywołać wrażenie, że taki światopogląd jest z punktu interesów państwa austriackiego rzeczywiście zbrodniczy. W takich warunkach trudno też było apelować do humanitaryzmu. Bo i jakże można było żądać jakiegoś współczucia dla tych, którzy, pomawiani o zdradę państwa, mieli zapewnioną strawę, choć marną i dach nad głową, choć dziurawy, podczas gdy elita społeczeństwa, mężczyźni w sile wieku i o najszlachetniejszych porywach, ginęli masowo z głodu i znojów albo, jeszcze gorzej, w strasznych męczarniach, rozrywani na strzępy granatami, albo zawieszeni na drutach kolczastych.

Toteż nie tylko wśród Niemców, ale nawet wśród Rosjan „Starorusini” nie znaleźli sympatii. Przekonali się o tym ci, którzy pozostali w kraju, nietknięci przez władze austriackie. Zdaje się, że w głębi duszy już niebawem pozazdrościli oni tym swoim rodakom, którym los przeznaczył obleczenie się w szatę „męczenników”. Bo faktem jest, że wszyscy ci staroruscy uciekinierzy i emigranci do Rosji jak jeden mąż powrócili do swego kraju, gdy tylko okazało się to możliwym. Wrócili, straciwszy już uprzednio dobytek z kraju wywieziony i ograbieni z gotówki i kosztowności, jeżeli je posiadali. Bo „Narodny Sowiet”, ze Lwowa do Rostowa n/D przeniesiony, pod którego opiekę rząd rosyjski uciekinierów galicyjskich i przymusowo ewakuowanych z Galicji oddał, nie pozwalał powracającym do kraju zabrać ze sobą żadnych kosztowności ani walut, odebranych im i złożonych w rostowskim oddziale Kamsko - Wołżskiego Banku. Tam też w skrytkach tego banku wszystkie te majątki przepadły. Ucierpieli na tym najwięcej uwięzieni w Austrii „Starorusini”, których rodziny, uciekające w 1915 r. z Galicji, władze rosyjskie wywiozły do Rostowa n/D, jako zakładników.

Gdy mowa o reemigracji „Starorusinów” z Rosji do kraju, może ktoś zwrócić uwagę, że reemigracja nastąpiła dopiero po przewrocie bolszewickim. Otóż trzeba zauważyć, że nie mogła ona nastąpić wcześniej, gdyż po pierwsze przed tym przewrotem Galicja była ustawicznie terenem walk, a po wtóre — władze rosyjskie nie zezwoliłyby nikomu na powrót. Kto by się był o to ubiegał, byłby ściągnął na siebie ponadto bardzo brzemienne w skutki podejrzenia. Ale chęć powrotu do rodzinnego kraju była powszechna i żywiołowa. Jedna dobra znajoma oświadczyła mi tak: „Od pierwszej chwili przyjazdu do Rosji, ja i wszyscy moi znajomi nie marzyliśmy o niczym, jak tylko o tym, żeby jak najprędzej, z życiem tylko, uciec z tego piekła. Nie mieliśmy bezpieczeństwa życia ani mienia, ani wolności osobistej.” A było to przecież jeszcze za rządów carskich, osoba zaś, o której mowa i wspomniani przez nią jej krewni i znajomi, należeli do elity rusofilskiej w Galicji i wielbicieli Rosji.

Nasuwa się mimo woli pytanie, jakie były powody tej nagłej zmiany nastrojów i oziębienia sympatyj „Starorusinów” do Rosji? W każdym razie musiały to być powody poważne.

Kto miał możność zajrzeć za kulisy, ten mógł, mimo mgły, puszczanej przez sztuczną agitację i propagandę, dojrzeć zaraz w początkach okupacji Galicji przez wojska rosyjskie głęboką przepaść między „oswobodzicielami” rosyjskimi a „oswobodzonymi” rusofilami galicyjskimi. Oczywista, że stan ten starali się przywódcy rusofilscy z taktycznych względów ukryć. Tylko przygodnie tu i owdzie jakiś zgrzyt obijał się o uszy szerszych warstw społeczeństwa. Dopiero po wojnie ukazały się publikacje, które potwierdziły to, o czym ludzie już dawno szeptali sobie na ucho.

Więcej uwagi poświęcimy jednej takiej publikacji, ze względu na jej treść również w innym kierunku rewelacyjną, jako też ze względu na osobę autora. Jest nim znany działacz rusofilski, jeden z głównych twórców ideologii staroruskiej kursu Dudykiewiczowskiego, bezwarunkowo najwybitniejszy i najzdolniejszy z pomiędzy publicystów i pisarzy swego obozu, redaktor propagandowego czasopisma „Sławianskij Wiek” w Wiedniu i współpracownik nacjonalistycznego dziennika petersburskiego „Nowoje Wremja” — dr Dymitr Wergun. Publikacja, o którą chodzi, to wspomnienie pośmiertne ku czci jednego z jego współpracowników politycznych oraz jednego ze znanej trójcy ideologów i pisarzy staroruskich doby przedwojennej (Wergun, Jaworski, Głuszkiewicz) — dra Mariana Głuszkiewicza. Otóż dr Wergun opisuje, jakie to on, zasłużony galicyjski działacz rusofilski, pokonać musiał trudności, żeby uzyskać od władz rosyjskich zezwolenie na przejazd do rodzinnego Lwowa, jak dostał się tam raczej okrężną drogą, dzięki pomocy gen.

Radka Dmitrijewa (Bułgara z pochodzenia), jakim rozczarowaniem napełniły go stosunki, które znalazł we Lwowie i jak po sześciotygodniowym pobycie władze rosyjskie wyekspediowały go wraz z żoną (Rosjanką!) z powrotem w głąb Rosji. Są to wynurzenia tak charakterystyczne, że najciekawsze ustępy uważamy za odpowiednie przytoczyć w dosłownym tłumaczeniu:

„...Mnie, nie bacząc na to, że byłem zastępcą prezesa „Galicyjsko-rosyjskiego Dobroczynnego Towarzystwa" w Petersburgu, nie chciano wpuścić do uwolnionej ojczyzny. Tylko telegram dowódcy III armii, gen. Radka-Dmitrijewa, do generalnego sztabu, wzywający mnie, jako znawcę języków słowiańskich, przełamał upór płk. Monkiewicza..." „...Po przybyciu do Lwowa, byłem zaskoczony („porażen") wszystkim, co musiałem zobaczyć..." „...Dowiedzieliśmy się o tym, że generał - gubernator, w celu zjednania sobie szlachty, z góry traktował naszych galicyjsko - rosyjskich działaczy, z W. F. Dudykiewiczem na czele..." „...Z moich telegramów i korespondencyj do gazety „Nowoje Wremia" przepuszczono tylko półtora. Cenzorski ołówek kapitana Sukina wściekał się" („swiriepstwował")... „...Generał-gubernator Bobrinskij zażądał ni mniej ni więcej, tylko mojej i mojej żony deportacji ze Lwowa, prawda, że pod pięknymi pretekstami..." — (Żona dra Werguna miała wieźć partię dzieci bezdomnych w głąb Rosji, sam zaś dr W. miał towarzyszyć w podróży hr. Bobrinskiej, która wiozła drugą taką partię). — „...W tym burzliwym czasie, kiedy Dudykiewiczowi i jego współpracownikom („soratnikom") przyszło przełknąć tyle gorzkich pigułek od wybawicieli, Głuszkiewicz jeden potrafił przejawić swoje wybitne zdolności dyplomatyczne. Otrzymał nominację na stanowisko burmistrza („gorodskoj gaława") oswobodzonego Przemyśla..." („Russkij Gołos" 34 z 1935 r.).

*(Dok. nastąpi)*

# Śmieszne próby

*(Na marginesie artykułu „Ukraine chimere ou realite" miesięczniku francuskim „La Revue des Ambassades" w numerze styczniowym 1938 roku).*

W ostatnich latach jesteśmy świadkami wzrastającego nasilenia propagandy wolnościowej narodów wchodzących w skład Z.S.S.R., wśród których pierwsze miejsce zajmuje Ukraina, nie tylko ze względu na swój potencjał gospodarczy i polityczny, ale przede wszystkim jako czynnik o odrębnej strukturze kulturalnej. Toteż w miarę narastających przeciwieństw ideowo-politycznych w Z.S.S.R., przybliżających moment ostatecznej rozgrywki, widzimy narastanie fali propagandowej sprawy ukraińskiej, której zasięg jest dziś bodaj większy niż zasięg propagandy sprawy polskiej przed wojną. Akcja ta naturalną koleją rzeczy, wywołuje reakcję ze strony tych elementów przede wszystkim, dla których historia nie była nigdy mistrzynią życia, które tkwiąc w dawnych nałogach myślowych nie potrafią dojrzeć zmienionego nurtu dziejów i ścieśniony swój horyzont uznaćby chciały za miarę rzeczy dokonywujących się w skali historycznej. Pół biedy, jeśli głupstwo wylęgłe w mrokach nieświadomości lub zakłamania pozostaje w granicach swego bezpośredniego zasięgu, równającego się często zeru. Gorzej, jeśli dzięki sprzyjającym okolicznościom zwiększa zasięg swego promieniowania za pośrednictwem organów przeznaczonych dla elity umysłowej docierając do umysłów tych, którzy z tytułu swego stanowiska mogą być powołani do współdecydowania w przyszłym układzie sił w Europie. Wtedy stajemy przed imperatywnym obowiązkiem podjęcia walki z fałszem i kłamstwem, którego autorzy zręcznie potrafią wykorzystywać ignorancją środowiska, w którym operują.

W ostatnich tygodniach jeden z miesięczników francuskich, „La Revue des Ambassades", przeznaczony, jak wskazuje tytuł, dla przedstawicieli dyplomacji, zamieścił artykuł poświęcony zagadnieniu ukraińskiemu, p. t. „Ukraina chimere ou realite" — „Ukraina chimerą czy rzeczywistością". Artykuł ten przedstawia taki stek nonsensów, że gdyby nie środowisko, dla którego jest przeznaczony i powaga pisma na łamach którego się ukazał, wzmianka o nim byłaby całkowicie zbyteczna.

Autor artykułu — Rosjanin, jak sam przyznaje — pochodzenia ukraińskiego, „urodził się", jak powiada „na południu Rosji", wychodzi w swych, nazwijmy to tak, rozważaniach z klasycznego stanowiska nauki rosyjskiej, sugerującej światu fałsze jednolitości i niepodzielności państwo-rosyjskiej.

Załatwiwszy się na wstępie ze źródłosłowem wyrazu „Ukraina", który, według autora, jest określeniem „strefy położonej na pograniczu, nie oznacza więc pewnej, oznaczonej jednostki geograficznej, a tym mniej formacji narodowościowej, twórca tego elaboratu dzieli się z czytelnikiem doniosłym odkryciem, według którego „historia mówi o Ukraińcach rosyjskich, polskich, litewskich etc..." To etc... jest szczególnie rozbrajające! Dla nadania swej elukubracji pozorów naukowych, autor sięga do „początków historii", do roku 1246, w którym to pewien „mnich włoski, przejeżdżając przez krainy Rosji południowej", opisuje spustoszenie tej ziemi przez Tatarów. W jego opisach występuje wszędzie nazwa „Roussia", co nieświadomemu czytelnikowi ma zasugerować, że nazwa „Roussia" była wówczas powszechną i równoznaczną z Rosją.

Mówiąc o koronacji Księcia Halickiego na króla Rusi przez legata papieskiego Opiza w Drohiczynie w 1254 roku, autor ostentacyjnie podkreśla, że „Daniel fut proclame roi de Russie" — Daniel był proklamowany królem Rosji, podczas gdy zgodnie z historyczną prawdą trzeba było powiedzieć: roi de Rutheni — król Rusi.

Jest to celowe zacieranie nazw, aby w umyśle czytelnika zachodniego, trudno się w zawiłych dziejach europejskiego wschodu orientującego, zatarła się i rzecz sama.

Przez cały artykuł przewija się dla określenia ziem ruskich, słowo „rosyjskie". Nawet gdy sięgając do dokumentów bizantyjskich autor musi podać, że w odróżnieniu od Rosji nadano ziemiom „ukrainnym" inną nazwę, szuka i znajduje określenie „mała Rosja" — Russie mineure". Bizancjum, które przez trzy stulecia pozostawało w ścisłej styczności z Kijowem, miało przed sobą, według słów autora, „Rosję jedną, niepodzielną"! Dążenie do uzasadnienia tej „jedności" i „niepodzielności" jest myślą przewodnią artykułu, realizowaną nawet przy pomocy fałszu historycznego i dowolnego naciągania dziejowych fałszów. Zbędnym byłoby podążać za autorem ścieżkami absurdu, wyrażającego się chociażby w tym jednym twierdzeniu, że to Ruś, a jak chce autor „Mała Rosja", przyniosła na Litwę światło chrześcijańskiej wiary!

Autor, poszukując pochodzenia wyrazu „Ukraina" i początków odrębności narodowej Ukraińców, powołuje się na

sławnego slawistę i historyka literatury polskiej, Aleksandra Brücknera w Berlinie, pisząc „Według prof. Brücknera w Berlinie, idea „ludu ukraińskiego", odrębnego od narodu rosyjskiego, została po raz pierwszy sformułowana w 1795 roku przez pisarza polskiego hr. Potockiego".

„Nie wiemy, pisze dalej autor, czy Potocki był istotnie pierwszym wyrazicielem tej idei, ale nie ulega wątpliwości, że odkrycie „ludu ukraińskiego" dokonane zostało przez Polaków.

„Gdy Moskwa objęła swym „wysokim protektoratem" (sous sa haute main) w 1654 roku Małorosję (Russie Mineure), między Rosją a Polską doszło do wojny, która zakończyła się odstąpieniem Zadnieprza Wielkiej Rosji. Chcąc przeciwstawić się powszechnym w prowincjach ruskich tendencjom połączenia się z Rosją, Polacy zaczęli posługiwać się argumentem odrębności rasowej ludu zamieszkałego w Rosji południowej, nazywając go ukraińskim.

Nazwa ta, zdaniem autora, nabrała nowego znaczenia z chwilą gdy kwestią ukraińską zaczęli się interesować Niemcy. Przed i w czasie wojny 1914 — 1918 kwestię ukraińską próbowała wygrać przeciwko Rosji Austria, bez powodzenia zresztą.

Głównym instrumentem jej propagandy był profesor Hruszewski, który po odbyciu studiów w Kijowie, osiadł w Austrii. Uzdolniony, wytrwały, mając finansowe poparcie, zrobił wszystko, co leżało w granicach możliwości ludzkich. Historia była przeciwna „ukrainizmowi", Hruszewski przerabia historię. Gwara, którą posługuje się lud w Małej Rosji, jest zbyt uboga, by mogła pretendować do roli języka literackiego i artystycznego. Hruszewski tworzy język, mieszaninę narzecza krajowego, słów polskich i niemieckich i nazwał to językiem ukraińskim. Język ten raził ucho, ranił poczucie estetyczne, oburzał czytelnika, ale Hruszewski nie zniechęcał się takimi drobnostkami. Napisał dużo książek i broszur, zorganizował wydawnictwo dzienników i periodyków".

Tak pisze Gulewicz, potomek, jeśli wierzyć jego słowom, tej Elżbiety Gulewicz, która w 1618 roku założyła Akademię Kijowską, ostoję myśli ukraińskiej przez szereg lat, zanim ją rządy carskie nie przekształciły w narzędzie rusyfikacji. Ale skąd Zachód może tak szczegółowo wnikać w historię kultury tego kraju. Wie o tym doskonale p. Gulewicz i żeruje na tej typowej ignorancji Zachodu w odniesieniu do spraw wschodnich. Autor próbuje ośmieszyć próby Hruszewskiego „stworzenia języka ukraińskiego", przeciwstawia jego „gaworzeniu" przepiękny język Puszkina, Turgieniewa, Tołstoja, Gogola, ale dziwnie zapomina o Szewczence i tylu innych pisarzach, którzy byli wyrazicielami duszy narodu ukraińskiego i jego kultury, tym właśnie różniącej się od Turgieniewów, Tołstojów, Dostojewskich i innych wielkich literatów rosyjskich, że wolnej od ich moralnego nihilizmu.

W tej wędrówce do kresu absurdu, jaką jest artykuł Gulewicza, znajdujemy dalsze takie „kwiatki": „Nienawiść do Rosji i uczucie przyjaźni dla Austrii są dostatecznym wytłumaczeniem gorliwości, z jaką zabrano się do tworzenia „narodu ukraińskiego". Przedstawiciele najwybitniejsi tego narodu, między innymi Szulgin, dyrektor największego dziennika kijowskiego oraz wielu innych małorosjan z łatwością odkryli w „ukrainiźmie" działalność zdrajców. Dlatego też bojownicy ruchu „ukraińskiego" otrzymali przydomek „mazepińców". Oczywiście, autor nie wyjaśnia, że przydomek ten miał znaczenie wzgardliwe i ukuty został przez Rosjan dla ośmieszenia budzącego się ruchu ukraińskiego. Dalej następuje wywód „uczony wielce" kim był Mazepa, wywód stojący całkowicie na poziomie elukubracji p. Gulewicza.

Zdaniem autora, przed rewolucją rosyjską nieliczni tylko dyplomaci i pisarze brali „chimeryczne urojenia ukraińskie" za rzeczywistość.

„Ograniczamy się, pisze autor, do tego krótkiego szkicu historycznego, nie wchodząc w bliższe rozpatrywanie perypetii kwestii ukraińskiej i poparcie mniej lub więcej efemeryczne udzielane przez Berlin, Londyn, Paryż, Rzym i Warszawę poszczególnym ugrupowaniom separatystycznym od 1918 roku do ostatnich czasów. Są to wszystko błędy młodości, konkluduje pobłażliwie autor i próbuje w dalszym ciągu sugerować czytelnikowi, że propaganda w sprawie wyzwolenia narodów uciśnionych w Rosji służy celom Sowietów, które mogą powołać się na to, że mocarstwa t.zw. imperialistyczne przygotowują agresję nie tyle celem obalenia ustroju sowieckiego, ile rozczłonkowania Rosji.

„Propagandzie tej rządy powinny przeciwstawić zdecydowane dementi, podobnie jak to miało miejsce w sprawie hiszpańskiej. Warto w związku z tym przypomnieć pamiętne słowa senatora G. Gautherot, wygłoszone na posiedzeniu towarzystwa francusko - rosyjskiego.

Rządy powinny w sposób uroczysty potwierdzić przed całym światem postanowienie nienaruszenia integralności terytorialnej Rosji w jej granicach obecnych, oświadczyć, że nie wykorzystają nieszczęsc Rosji dla naruszenia jej interesów i pozostawią prawdziwemu rządowi rosyjskiemu, który utworzy się prędzej, czy później prawo samodzielnego regulowania spraw wewnętrznych oraz porozumienia się z innymi mocarstwami w sprawach zewnętrznych".

Tego rodzaju deklaracja mogłaby, zdaniem autora, zapewnić powodzenie walce z bolszewizmem, którego jarzmo jest równie nieznośne dla „Rosjan północnych, wschodnich, środkowych, zachodnich, jak i południowych". Należy ich wszystkich poprzeć w walce o wyzwolenie. Ale jakie wyzwolenie? Dodamy, że pełne, t.zn. zarówno od zmory komunistycznej, jak i wyzwolenie narodowo - państwowe.

Bowiem wśród ludności zamieszkującej obszary Ukrainy, Kaukazu, Turkiestanu i innych ziem tatarskich, coraz silniej budzą się tęsknoty nie tylko wyzwolenia się z pod jarzma czerwonego, *ale z pod wszelkiego jarzma w ogóle.* Prąd ten w miarę rozkładu życia w Sowietach, które jest tylko dalszą konsekwencją rozkładu Rosji jako takiej, będzie narastał z coraz większą siłą i żadne zaklęcia Gulewiczów wstrzymać go nie mogą.

Próby zaś okłamywania opinii europejskiej okrywają śmiesznością autora i tych, którzy ulegają aż nadto przejrzystym celom tej propagandy. *W-s.*

# VARIA

## Z prasy polskiej

**„Kresy czekają na Młodych".** „Dziennik Polski" (23.III.) w artykule pod powyższym tytułem pisze, że podniesienie gospodarcze Ziem Wschodnich należy wiązać z uświadomieniem państwowym ludności tej połaci Rzplitej. Pod tym względem przed młodzieżą polską z innych dzielnic odkrywają się szerokie możliwości.

„Elementem instruktorskim polskości powinna być w pierwszym rzędzie młodzież. Poza całym szeregiem zawodów wolnych, które powinny przyciągnąć na Ziemie Wschodnie bezrobotną inteligencję, ziemie te są doskonałym terenem dla

twórczej inicjatywy w dziedzinie organizowania nowych placówek gospodarczych, nowych warsztatów pracy.

Już w okresie studiów akademickich, młodzież powinna penetrować Ziemie Wschodnie, aby poznać swój przyszły teren pracy. W tym celu organizowane są kolonie i obozy letnie, społeczne obozy wędrowne itp.

Młoda inteligencja polska ma wiele możliwości przenikania na Ziemie Wschodnie, trzeba tylko obok cenzusu naukowego i wyrobienia społecznego uzbroić się, chociażby w odrobinę dobrej woli. Wieś kresowa potrzebuje nie tylko lekarzy i techników, nie tylko rzemieślników i fachowców — ale przede wszystkim działaczy i patriotów, którzy potrafią wyrwać ją z przewlekłego uśpienia i stagnacji".

**„W obronie zagrożonych dóbr narodowych".** Pod tym tytułem lwowskie „Słowo Narodowe" (22.III.) zamieszcza uchwały niedzielnego wiecu Stronnictwa Narodowego we Lwowie. Znajdujemy tam m. inn. „rezolucje w sprawach separatyzmu ukraińskiego".

„Zebrani: a) protestują przeciw popieraniu i propagowaniu ukrainizmu przez czyniki państwowe lub od państwa zależne, jak np. szkolnictwo państwowe, banki i radio polskie; b) wzywają rząd do zaprzestania tzw. polityki normalizacyjnej w Małopolsce Wschodniej oraz ukrainizacyjnej na Wołyniu, i do wydatnego popierania żywiołu polskiego na tych ziemiach; c) domagają się takiego unormowania stosunków Cerkwi gr.-kat., aby ona przestała być narzędziem wojującego nacjonalizmu i separatyzmu ukraińskiego; d) z radością witają inicjatywę społeczeństwa polskiego na Wołyniu zdążającą do rewindykacji dla polskości strat poniesionych w czasach zaborczych, oraz serdecznie pozdrawiają mieszkańców Wołynia, którzy powrócili do narodu polskiego i św. rzymsko-kat. Wiary ojców; e) oświadczają, iż jest obowiązkiem wszystkich czynników polskich nie dopuścić do masowych demonstracyj separatystów ukraińskich we Lwowie i stwierdzają, że wspólny zlot połączonych stowarzyszeń separatystycznych: „Proświty", „Sokiła" i „Łuhu", zapowiadany w tym roku we Lwowie — odbyć się nie może".

---

## Przegląd prasy ukraińskiej

**„Z Józefem Piłsudskim czy przeciwko niemu?"** Pod tym tytułem zamieszczą „Wołynśke Słowo" (20.III.) długi artykuł wstępny poświęcony wzmożeniu się endeckiej propagandy na Wołyniu. Przy tym organ W. U. O. twierdzi, że

„Swoistość większości endeckich elementów na Wołyniu polega na tym, że pragną one urzeczywistnić program Romana Dmowskiego z imieniem Józefa Piłsudskiego na ustach i z legitymacją prorządowców w kieszeni".

„Wołynśke Słowo" na potwierdzenie swojej tezy przytacza szereg danych. W dalszym ciągu „W. Słowo" pisze:

„Podciąganie idei Rzeczypospolitej do jednego tylko narodu polskiego sprowadza ją automatycznie do problemu małej Polski i z góry osłabia Rzeczpospolitą w perspektywie zadań, które nieodwołalnie spadną na nią w zawierusze wydarzeń światowych. I przeciwnie: w naszym najgłębszym przekonaniu tylko idea Rzeczypospolitej, owiana moralną siłą zasadniczej myśli Józefa Piłsudskiego, może stworzyć te psychiczne podstawy, które dadzą największe natężenie obronności kraju i rozwiązania na wypadek potrzeby, wszystkich zadań, które wysunie dziejowa konieczność".

**Zdecydowane stanowiska prasy ukraińskiej.** Z inicjatywy „Diła" odbyła się w dniu 13.III. br. konferencja przedstawicieli wszystkich politycznych organów ukraińskich celem zajęcia wspólnego stanowiska w sprawie znanego procesu złoczowskiego o mord dokonany na ś. p. Jasińskich.

„Ukrainśki Wisty", które zajęły zdecydowanie potępiające stanowisko w tej sprawie, komunikują:

„Przedmiotem konferencji była sprawa procesu OUN. w Złoczowie o napad w Bełżcu i kwestie o charakterze społecznym, związane z tą sprawą. Referował dr Osyp Nazaruk. 20 organów prasowych reprezentowali ich współpracownicy polityczni w liczbie 31 osób. Narada wykazała, że ukraińska prasa polityczna, jak to wynika z jej stanowiska społecznego, zgodna jest w swym negatywnym ustosunkowaniu się do tego rodzaju taktyki, która posługuje się takim fizycznym i moralnym terorem. Abstrahując od etycznej oceny takiego postępowania, stwierdzono, że tego rodzaju metody dezorganizują i podkopują społeczne życie narodu".

Tyle prasa ukraińska. Jak widzimy — stanowisko jej do rozgrywających się przed sądem w Złoczowie wydarzeń bełzkich, jest zdecydowane i jasne. Charakteryzuje ono też zdecydowany przełom, który dokonał się w społeczeństwie ukraińskim przeciwko nieodpowiedzialnemu warcholstwu.

Uchwała redaktorów politycznych pism ukraińskich nabiera szczególnej wymowy jeszcze i przez to, że tuż po powzięciu potępiającej OUN. uchwały, na redakcję „Diła" i „Ukraińskich Wisty" został dokonany napad skrajnych ukr. elementów nacjonalistycznych. Bojówki zażądały cofnięcia przyjętego na konferencji komunikatu prasowego, a po odmowie, rzuciły się do demolowania lokali redakcyjnych. Na ten raz jednak spotkały się one ze stanowczym odporem i zostały przez personel redakcyjny obu redakcyj przepędzone.

**„Bełżec i Złoczów".** Podawaliśmy już o stanowczej postawie całej prasy ukraińskiej w znanym procesie złoczowskim. Prasa ta nadzwyczaj stanowczo i ostro osądziła zbrodnię ouenowców. „Diło" (18.III.) w artykule pod powyższym tytułem na ten temat pisze:

„Obawa, aby takie rzeczy więcej się nie powtórzyły, jest większa, niż najgłębszy żal, który odczuwali wszyscy ukraińscy czytelnicy sprawozdań z procesu złoczowskiego, cały naród ukraiński".

„Sprawa Bełżca" (zabójstwo ś. p. Jasińskich — Red.) nie ma w historii walki ukraińskiej, legalnej czy nielegalnej, ewolucyjnej czy rewolucyjnej, precedensu. Zdaje się, że sprawa jest na tyle jasna, że nie trzeba jej wyjaśniać. Dość przypomnieć, że gdy w maju ub. roku nadeszły pierwsze wiadomości o wypadkach w Bełżcu i gdy niektóre organy polskiej prasy zaczęły wskazywać na Ukraińców jako na sprawców, wtedy cała ukraińska prasa oburzyła się: nie dopuszczała bowiem nawet myśli, że taki napad i taki mord — jest dziełem podziemia ukraińskiego".

„Diło" stanowczo zwraca się przeciwko „atmosferze środowiska naszego podziemia", które dopuszcza do tego, aby w głowach młodych, ideowych chłopców zradzały się podobne plany.

„Im większy żal z powodu przeszłości, tym bardziej gorące powinno być życzenie, aby omyłki przeszłości nie powtarzały się w przyszłości".

Pod adresem młodzieży „Diło" pisze:

„Wypadki w Bełżcu i proces złoczowski winny przyczynić się do głębokiego zastanowienia się nad tymi problemami. Winny pobudzić całą ukraińską młodzież ideową do ustalenia niewzruszalnych tez nacjonalizmu ukraińskiego, takich tez, które nie miałyby nic wspólnego z „dekalogiem", o którym słyszeliśmy na niektórych poprzednich procesach".

**Trudne warunki.** W czasopiśmie emigrantów ukraińskich „Za niezależnist" (Nr 3—4) przywódca warszawskiej asocjacji malarzy ukraińskich „Spokij", P. Mehyk (art. pt. „Batalistyczne malarstwo"), porusza sprawę względnie małego zainteresowania się w społeczeństwie ukraińskim własnym malarstwem. Adepci sztuki ukraińskiej pędzą żywot swój w nędzy, często żyją z zamówień „obcych". Społeczeństwo własne stawia względem swych mistrzów duże wymagania, nie troszcząc się wcale o warunki w jakich żyją i pracują artyści ukraińscy. Długie stulecia niewoli, fakt pobierania nauki

w obcych szkołach, niesprzyjająca atmosfera w społeczeństwie oraz trudności materialne — nie sprzyjały i nie sprzyjają rozwojowi wszechstronnej twórczości plastyków ukraińskich. W szczególności batalistyka ukraińska stawia dopiero teraz pierwsze, niezbyt udatne kroki. Autor przy tym zupełnie słusznie kreśli trudności pracy malarza ukraińskiego, który zechce obrać ten dział twórczości.

Prof. P. Mehyk, znany zresztą w ukr. kołach malarskich organizator pomocy koleżeńskiej, cieszy się z inicjatywy profesorki Malickiej we Lwowie, która złożyła poważną jak na ukraińskie stosunki sumę do depozytu bankowego celem zapoczątkowania funduszu konkursowego dla nagradzania dzieł plastyków ukraińskich. Zainicjowanie tego funduszu zapoczątkowuje systematyczną pomoc dla malarzy pracujących nad tematyką historyczną, wymagającą szczególnych studiów.

## Z życia gospodarczego

**O ukraiński charakter rzemiosła.** „Torhowla i Promysł" (15. III.) w art. „Rzemieślnik-Artysta" porusza zagadnienie podniesienia rzemiosła ukraińskiego na należyty poziom. Organ prywatnych kupców i przemysłowców ukraińskich jest zdania, że jeszcze przedwcześnie mówić o tym by ukraiński rzemieślnik wytworzył i nadał rzemiosłu ukraińskiemu charakter narodowy. Jednakże w tym kierunku należy iść.

„Musimy to uczynić w ten sposób, aby to podbiło innych (mowa o lepszych i świadomych swego celu rzemieślnikach — Red.), ażeby nasze rzemiosło niosło daleko między inne narody promienie naszej kultury".

Droga ku temu prowadzi, zdaniem „Tor. i Prom.", poprzez wiedzę i wzmocnienie organizacji rzemieślniczych. Rzemieślników ukraińskich musi opanować żądza wiedzy. Ukraiński rzemieślnik winien wyrobić sobie własny światopogląd, musi zdobyć się też i na ambicje zdobycia w społeczeństwie pewnych pozycyj.

**O organizację handlu lnu i konopi.** Na łamach czasopisma „Hospodarśko-Kooperatywnyj Czasopys" rozpoczęła się ponownie propagandowa akcja na rzecz racjonalnej organizacji handlu włóknem lnianym i konopianym. Dotychczasowa akcja w tym kierunku nie dała spodziewanych wyników.

**Zaprzestać sprzedawania na kredyt.** R. S. U. K. wydał znowu ostre zarządzenie spółdzielniom, polecając kategorycznie zaprzestać rozdawanie członkom spółdzielni towaru na kredyt. Opieszałym zarządom zagrożono represjami.

# Ze świata i z kraju

### Z ŻYCIA AKADEMIKÓW UKRAIŃSKICH W WARSZAWIE

Dnio 15 bm. odbyło się w Warszawie zwyczajne walne zgromadzenie Ukraińskiej Studenckiej Hromady Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego. Liczy ona obecnie 73 członków, w tym 41 z ziemi Czerwieńskiej, 21 z Wołynia, 3 z Warszawy, 2 z Polesia, 2 z Chełmszczyzny, 2 emigrantów. Poza tym wokoło Hromady skupia się około 80 studentów z innych wyższych szkół warszawskich. Zaznaczyć należy, że akademicy ukraińscy emigranci zorganizowani są w korporacji „Zaporoże".

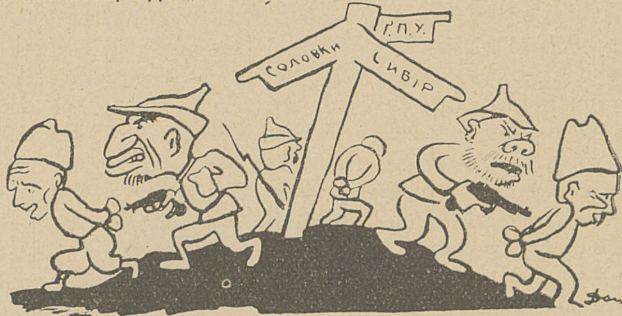
### SŁOWNIK UKRAIŃSKO-NIEMIECKI.

Przy Ukraińskim Naukowym Instytucie w Berlinie została powołana Komisja dla ułożenia słownika ukraińsko-niemieckiego i niemiecko-ukraińskiego. Na czele Komisji stanął prof. dr Zenon Kuzela, sekretariat objął dr Jarosław Rudnicki.

### UKRAIŃSKIE TOWARZYSTWO HIGIENICZNE.

Dnia 20.III. bm. odbyło się we Lwowie doroczne zebranie członków Ukraińskiego T-wa Higienicznego. T-wo to zostało założone 10 lat temu. Obecnie posiada 10 filij na terenie 3 województw południowo-wschodnich. Władze stowarzyszenia rozwinęły ostatnio ruchliwą działalność, urządzając 700 referatów na tematy lekarsko-zdrowotne, wystawy higieniczne oraz prowadząc propagandę prasową. T-wo posiada własny organ „Narodnie Zdorowla", przeznaczony dla szerokich warstw ludności i postawiony na poważnym poziomie. Członków obecnie T-wo posiada zaledwie 1000 osób. W dyskusji dr Chomysz podniósł, że masowy zbyt mleka, chociaż przynosi materialną korzyść dla wsi, jednak źle odbija się na zdrowiu wieśniaków, szczególnie dzieci chłopskich. Podniesiono też konieczność walki z gruźlicą na wsi, której szerzenie się jest zastraszające.

Prezesem T-wa ponownie został obrany znany lekarz lwowski, prof. dr Panczyszyn.




*„Oj, try szlachy szyrokcji...*



WARUNKI PRENUMERATY: **W kraju:** rocznie zł. **8**, półrocznie zł. 4.50, kwartalnie zł. 2.50, miesięcznie zł. 1
**Zagranicą:** rocznie zł. 16, półrocznie zł. 9, kwartalnie zł. 5, miesięcznie zł. 2. Cena numeru pojedyńczego 30 gr.

**ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Nowy Świat 66 m. 13. Telefon 234-60. Konto P.K.O. 26.842.**

Redaktor i Wydawca: **Włodzimierz Bączkowski.**

**NALEŻNOŚĆ POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ.** *Zakl. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.*